

GERARD GÓRNICKI

## Ucieczka na obczyznę

powieść  
(fragment)

*„Nie ustaniemy w poszukiwaniach,  
A kresem naszych poszukiwań  
Będzie dojście do punktu, z któregośmy wyszli,  
I poznanie tego miejsca po raz pierwszy...”*

(T.S. Eliot Cztery kwartety)

C Z Ę Ś Ć  
PIERWSZA

Z KIM MÓWIC.  
O MŁOŚCI?

I

- Przyjechałem.

Oczy miał niebieskie, zdziwione, usta czerwone (bo czerwona jest krew), lekko uchylone i nie-ruchome. Poruszył się na łóżku, szukał tylko dogodnej pozycji i chwili, aby bezpiecznie zasnąć.

- Przyjechałem.

- ...

...Postanowiłeś milczeć. Lecz czy tym milczeniem zdołasz sobie i mnie dopomóc? Co o tym myślisz? Nie dowiemy się i tego też, co o tym myślisz? Uśmiechasz się drwiąco, ojczy? Na mój widok? Nie powinieneś uśmiechać się drwiąco na mój widok. Toczy się przecież walka o ciebie...

- ...

...Nie odejdę od twojego łóżka, nie obejdę się bez wiedzy o tobie, o takim człowieku jak ty, dowiem się prawdy, spróbuję, bo sądzę, że o cokolwiek cię zapytam, wydobędę z twojej pamięci. Łudziłeś się, że zdołasz przeżyć jeszcze wśród nas dłużej niż dwa lata, znacznie dłużej, a teraz nie zamierzasz poświęcić nawet resztki swojego życia na rozmowę ze mną. Wiedz o tym dobrze, że skoro odzyskałem cię i starałem się uratować twoje ostatnie lata u schyłku twojego życia, uratować ciebie dla nas, to nie z mściwości i nie z nienawiści do ciebie. Wiesz o tym dobrze, że przed twoim wyjazdem z kraju żyliśmy razem pod jednym gontowym dachem tylko dwanaście lat i w moim dzieciństwie nie rozmawialiśmy wcale na temat niebezpieczeństw grożących tobie, mojej matce i mnie. A teraz? Nie potrafię potępić cię, bo im dłużej tam byłeś i im krócej jesteś tutaj, wśród nas, tym bardziej upewniam się w przeświadczeniu, że jestem twoim synem. Dlatego tych kilkanaście godzin twojego życia staje się bezcenne - dla mnie i dla ciebie, bo na ojca, odzyskanego po trzydziestu latach, czyżbym miał wydać wyrok skazujący go na zapomnienie?

...Może istotnie byłoby lepiej, gdybyśmy rozmów w ogóle ze sobą nie prowadzili i aby w śmiertelnej ciszy, jaka panuje w tym pokoju, każdy z sobą sam prowadził własne rozrachunki, które być może ty masz już za sobą - sam dostrzegasz w sobie bohaterskiego, podziwianego i zagadkowego człowieka, nazywanego emigrantem. Ale zastanów się, choćbyś naprawdę był takim człowiekiem, to może przestałeś już nim być od chwili swego powrotu do kraju albo od pierwszego krwotoku, więc czy nie jesteś skłonny podjąć starania o ocalenie naszej wspólnoty rodzinnej? Jak dotąd nasze myśli jakby wcale cię nie obchodziły, nie kwapisz się do walki wspólnie razem z nami o szczęśliwość, o spokój, o honor domu, o imię człowieka nieodżałowanego, najdroższego, oddanego, wiernego. Chcesz pewnie pozostać nieodwołalnie skazańcem, abyśmy żyjąc dłużej od ciebie przeklinali cię albo byśmy do końca swojego życia podziwiali ciebie, czcili jak świętego. Więc może powinniśmy być z ciebie dumni, powiedz? Dumni z tego, co czas, przestrzeń, inny kraj, inni ludzie, twój wyjazd i twój powrót w tobie wypielegnowały. Może swoim życiem szczerze zapłaciłeś za wszystkie swoje i nasze rachunki? A może mało rozumiem to twoje życie lub odmiennie je pojmuję?

...Ale nawet tam, gdzie przez przeszło trzydzieści lat mieszkałeś, żyłeś - nazywałeś się ojcem, mężem, bratem. A teraz nie jesteś nim? Nie ma ciebie dawnego wśród nas? Czyli byłeś, a teraz cię nie ma. Co ci odebrało świadomość, że jesteś ojcem, mężem, bratem? Czy zdajesz sobie sprawę z

takiej sytuacji, że nie ma ciebie dla Niebieszczan, dokąd wróciłeś w strachu przed zbliżającą się śmiercią, która mogła cię tam zaskoczyć w każdej chwili, znienacka, ale one nie przestały być twoje, i ta ziemia pod lasem na stoku wzgórza z krzyżami drewnianymi, gdzie leżą twoi przodkowie, nie przestała być twoją ziemią, bo nic nie straciłeś z naszej mowy. Czy mocno zostałeś przypisany do tamtego kraju, leżącego za oceanem, do tamtych ludzi, do tamtego słońca, do tamtych widoków, do tamtej ziemi?...

Próbowałem liczyć oddechy chorego, słuchałem, czy w ogóle trwały one dalej, czy nie zamilkły nagle, ale ojciec bez specjalnego lęku zamknął oczy i zupełnie ucichł. Wzrokiem przebiegłem po szerokiej, żółtej jego twarzy. Zasnął. Nigdy nie widziałem bardziej zgrzybiałego starca niż mój ojciec. Po chwili, śpiąc, na twarzy nagle dziwnie odmłodniał. Długo już nie wytrwa, chociaż trzyma się jakąś siłą starości jak spróchniały dąb. Stałem więc już niemal w punkcie końcowym, bardzo blisko jego śmierci.

Fakty biografii mojego ojca były proste i znane wszystkim mieszkańcom Niebieszczan. Tak zwyczajne i rzeczywiste, że wydawały mi się aż niezrozumiałe, wzbudzały żal, że tak było. Sam nie wiedziałem, który z tych faktów zasługiwał na miano mitu, a który był katastrofą. W życiu naszej rodziny powstał bowiem istny rozgardiasz, trudno nam już było wrócić do zwykłego porządku...

Urodził się 1 lutego 1894 roku i był synem kowala. Wyjechał do Elizabeth, stutysięcznego miasta w stanie New Jersey w roku 1930, a powrócił do Polski samolotem odrzutowym w roku 1962. Umierał na raka żołądka w dniu imienin mojej córki Elżbiety, jakby nie potrafił sobie wymyślić innego dnia w swoim siedemdziesięcioletnim życiu.

Mieszkał w drewnianym, góralskim domu nad rzeką, z widokiem na Beskid. Obok drewnianego łóżka, na podłodze, pod oknem, leżała niebieskawa półlitrowa butelka. Na jej ścianach perliły się krople wódki.

Podszedłem do stojącego w kącie pod piecem starego fotela pokrytego zielonym, wytartym pluszem i usiadłem w nim, aby być przy śmierci ojca. Za drzwiami werandy widziałem gołe akacje i rude pasmo nieba oświetlonego listopadowym słońcem skrytym za domem. Nadjechał pociąg, lokomotywa gwizdnęła zwycięsko kilometr przed stacją. Ściana dymu przysłoniła jesienny krajobraz pięknej trójkątnej kotliny. Stukot kół pociągu obudził na chwilę ojca ze snu. Jego biała głowa szukała wygodnego miejsca na poduszce. Westchnął i począł wsłuchiwać się w daleki, znajomy zgrzyt hamulców pociągu jak w

starą ulubioną melodię. Przyglądałem się ojcu, pragnąłem zapamiętać każdy jego ruch, nawet najdrobniejszy, żeby dobrze wiedzieć, jak wygląda ludzka, najprawdziwsza w świecie bezradność. Gdy już myślałem, że ojciec znowu śpi, odezwał się nieoczekiwanie:

- Widziałeś, ile ze mnie tego poszło?

Na podłodze obok pustej butelki stała biała miednica, jej dno zalane było krwią.

- Widziałeś.

Zauważyłem, że głos ojca brzmiał obojętnie, lecz to był jego głos, dźwięczny, metaliczny. W jego oczach błąkało się wyczerpanie, ale nagle rozwarł je szeroko. W ciszy domu, daleko, po tamtej stronie rzeki, odezwały się dźwięki śpiewnych modłów, głosy mężczyzn i kobiet. Potężniały i nagle cichły. Pojedynczy głos wznosił się tenorem, natychmiast odpowiadały mu lamentem głosy kobiece. Słowa pieśni, krótkie, żalosne, stawały się zrozumiałe. Ojciec usłyszał te narastające jak burza pośpieszne rytmy. Natężył słuch, widać było po wyrazie jego twarzy, że uchwycił już wyraźnie słowa, coraz bliższe, lekko przytłumione ścianą akacji, natarczywe, przeobrażające się w modlitwę za zmarłego. Wysunął dłoń spod pierzyny, szeroką, bladą, pokrytą wyschniętą, pomiętą skórą, dłoń spracowaną, o krótkich zgrubiałych palcach, żółtych na końcach. Twarz miał sinawą, obrośniętą białym zarostem, wychudłą i chłodną. Tylko oczy miał ożywione.

- Nie byłem po powrocie na cmentarzu, na ich grobach - nawiązał do czegoś, o czym myślał, bo nigdy nie mówiłem z nim na ten temat.

- To nic.

- Chyba nic. - Po chwili:

- Na samym końcu cmentarza, na skarpie, w tarninie, był kąt dla wyklętych.

- Pod Łętownią, dla samobójców.

- Możliwe - na twarzy ojca pojawił się grymas. - Gdzie mnie pochowacie?

- Co ojciec?...

- Nie kładźcie mnie do trumny z dykty, bo jak grabarz przywali ziemią, to się zaraz zapadnie i zgniecie - zmrużył oczy, jakby ujrzał przed sobą chłodną, szarą przestrzeń.

- Co gadasz?

- Nic nie mówię.

- Myślisz.

- Nie spałem całą noc w pociągu. Teraz już nic nie myślę. Czuję się bardzo zmęczony.

Jeszcze wcześniej rano przyszedł do ojca fryzjer, młody i gadatliwy. Strzygł ojca i golił, i myślał zapewne, że zdobędzie od niego wyznania, wygrzebie coś, czym mógłby potem zaciekawiać swoich klientów drzemających na fotelach fryzjerskich.

Ojciec siedział na łóżku nieruchomo, uważnie, mówił wprawdzie, że gdzieś tam kiedyś po świecie wędrował za czymś, po coś, ale odpowiedzi na pytania nie dawał.

- Jechać taki kawał świata, żeby tam tak zmizernieć, to...

Dostrzegłem słabe drgnienie na twarzy ojca, słyhać było jego pośpieszne sapanie.

- Jechać taki kawał świata z powrotem, żeby tutaj tylko... - spojrzenie fryzjera zetknęło się na moment z moim. To prawda, był człowiekiem, który dwukrotnie rzucił śmiało wyzwanie światu: pierwszy raz trzydzieści trzy lata temu, kiedy nie wyrzekając się ani rodziny, ani ojczyzny wyjechał do Stanów Zjednoczonych za chlebem; drugi raz przed dwoma laty, kiedy wrócił do kraju. A jeszcze były te ostatnie jego dni i godziny, kto wie, może najważniejsze. W każdym razie ostatnie.

Fryzjer schował pędzel, mydło i brzytwę do teczki. Nachylił się do mnie i szepnął mi do ucha:

- Ksiądz też nic od niego nie wyciągnie. On po prostu nie ma nam nic do powiedzenia.

Dopiero po paru minutach podniosłem wzrok na ojca. Popatrzył na mnie uważnie, badawczo.

- Tak.

- Co on chciał ode mnie?

- Nie wiem.

- A tego księdza, który ma przyjść, znasz?

- Jeżeli to ten, o którym mówił fryzjer...

- A skąd on wiedział, że to ten?

- Nie wiem, może od mojej matki.

- Znasz go?

- Kogo? Tego księdza? Znam. To jest mój dawny katecheta.

- Twój katecheta. No to cóż z tego, że to twój dawny katecheta? - ojciec powtórzył patrząc mi w oczy.

- To. przypadek - wzruszyłem ramionami.
- Myślisz, że mam jakiś stary dziwak albo tchórz, że mam sklerozę.
- Nie, tak nie myślę.
- Nie myślisz.
- Nie.
- Co to za jeden, ten ksiądz?
- Nie wiem, nie znam się na nich.
- Stary czy młody?
- Stary i pewnie już głuchawy. Nie pamięta ojciec Rogali?
- Nie. Nie pamiętam.
- Taki sobie.
- Jaki?
- Niby ksiądz, niby malarz.
- Minął się z powołaniem.
- Nie. Ale pamiętam, jak podczas lekcji religii malował atramentem wspaniałe wąsy, od ucha do ucha.
- Komu? Sobie?
- Nie, gdzie tam. Nam malował, kijem. To był cyrk. Staliśmy przed tablicą z tymi malowidłami na gębach jak indiański szczep.
- Narwany.
- Nie. Nawet bardzo opanowany, elegancki, hojny, sprawiedliwy i bez nałogów. Nie licząc jego zamiłowania do ziół, które warzył i pił litrami.
- Ale żyje i malarzem też jest.
- Co miał z nami robić?
- Mnie nie było. A ty kim jesteś?
- No, nie było. A ja? Inżynierem.
- Miałeś dziesięć lat, jak wyjechałem.
- Dziesięć i dwa miesiące.
- W trzydziestym roku.
- Ojciec wie dobrze, kiedy.
- Wiem. W piątek, dwudziestego ósmego listopada. Ale po co ma przyjść do mnie ten twój dawny katecheta? Ja się już wypowiadałem. Sam przed sobą. Skinąłem głową na znak, że go rozumiem.
- Jak się czeka na śmierć, to chce się być człowiekiem bez skazy, czystym jak łza, to jasne. Jest tam jeszcze coś w butelce?

- Nie ma ani jednej kropli, nawet na lekarstwo.  
- To mi pomagało się rozgrzeszać, z każdego grzechu po kolei. I nie chce mi się teraz już ani krzyczeć, ani płakać. Byłe w ostatniej chwili nie bolało.

Milczałem.

Ojciec oparł prawą rękę o ścianę, jakby się bał, że wypadnie z łóżka. W pokoju nie było słycać najcichszego dźwięku. Spojrzałem na białe, starannie rozdzielone na boki, błyszczące włosy ojca.

Usiłował się obrócić plecami do mnie, ale tylko zaklął cicho, przygryzł z bólu wargi i wrócił do pozycji na wznak. Z werandy wypełnionej promieniami słońca wchodziło przez otwarte okno świeże powietrze poranka. Nad miasteczkiem biły leniwie dzwony. Siedziałem w kącie pod piecem, w starym fotelu. Akacje skrzypiały na wietrze.

Ojciec leżał spokojny, poznałem to po wyniosłym wyrazie jego oczu, źrenice błyszczały mu od gorączki. Zaczęły zbiegać się przeróżne wspomnienia, przychodziły mi na myśl strzępki historii ojca, dobrze pamiętałem wiele szczegółów, po których nie znać było jakoś zestarzenia się.

Przez chwilę wsłuchiwałem się w ciszę domu, oczekując cierpliwie powrotu mojej matki. Wyszła wcześniej rano z domu, aby przyprowadzić księdza.

Próbowałem przyłgnąć wzrokiem do sztywnej twarzy ojca, aby niczego nie przeoczyć, majaczyła ona w moich zmęczonych oczach w coraz większej odległości, w poświęcie jesiennego dnia. Zdawało mi się, że obaj nagle zdrzemnęliśmy się w jednym i tym samym momencie i dlatego z tym większym przerażeniem powróciliśmy do rzeczywistości.

Przyszedł lekarz.

Ojciec usiadł niechętnie, kiedy doktor poprosił go o to. Spochmurniał, gdy tamten przez chwilę przyglądał się jego białym, szerokim ramionom pokrytym zwiędłymi mięśniami. Potem lekarz przykładał do jego pleców słuchawkę, zmieniając jej miejsce co kilkanaście sekund. Ojciec zapytał go o coś szeptem, ale doktor nie przerywał badania, widocznie wszystko inne przestało dlań istnieć, jakby nic nie słyszał, jakby ojciec nic nie powiedział. Macał jego brzuch i podbrzusze wyszorowanymi do białości palcami, opukiwał klatkę piersiową, słuchał jego serca.

- No i co? - odezwałem się niecierpliwie. Doktor odłożył słuchawkę i termometr do skórzanej torby i zamknął ją. Umył ręce i włożył je do kieszeni białego fartucha.

- Te rzeczy należało dawno usunąć - rzekł z zimnym wyrzutem i z fachową uprzejmością.

- Chce pan doktor powiedzieć, że operacja...

- Powinna była być w znacznie wcześniejszym stadium. A teraz? - rozłożył dyskretnie ręce.

Ojciec wstał swoim charakterystycznym ruchem, przypominającym raczkowanie.

- Nie będziecie mnie krajać.

- Nie. Niech pan leży spokojnie. Nikt nie będzie pana krajał - doktor spoglądnął znów na twarz ojca z chłodnym zastanowieniem. - Kiedy pan wrócił stamtąd?

- W kwietniu sześćdziesiątego drugiego roku.

- Wtedy należało operować, nawet jeszcze wcześniej.

- Nie myślałem o tym, nie dokuczało, nie bolało tak jak teraz.

- Myślał pan już o powrocie.

- No, tak. Były inne kłopoty, starania o paszport i o wizę.

- Źle się pan czuł w domu starców?

- Nie.

Lekarz wyprostował się i popatrzył znowu w twarz chorego.

- A pamięta pan mojego ojca?

- Nie. Chyba nie.

- Był lekarzem jak ja, w tym mieście. Nosił okulary i szpicbródkę.

- Żyje?

- Nie.

- Jak się nazywał?

- Porada. Józef Porada. Był tutaj parę lat bur-mistrzem.

- Nosił okulary i szpicbródkę. A wie pan, co ja nosiłem tam dzień w dzień przez dwadzieścia lat? Świńskie i krowie łajna. W rzeźni.

- Przykre.

- Głupie. Robiłem to bez zastanowienia, ale do roboty musiałem się dobrze przykładać, bo inaczej innego wzięliby na moje miejsce. Nie było żartów.

Pański ojciec też nie lubił żartów.

- Był bardzo szlachetnym człowiekiem - wtrąciłem się do rozmowy. - Przecież to on uratował mnie, kiedy jako chłopiec, już po wyjeździe ojca, chorowałem na zapalenie płuc.

Doktor stał nieruchomo plecami do okna, zatrzymał na mnie spojrzenie, a ja zerknąłem przez okno na niebo, po którym przesuwały się wielkie chmury. Brakowało mu chyba jeszcze ze dwa lata do pięćdziesiątki, ale stracił teraz pewność siebie jak człowiek, który nie miał za wiele okazji przekonać się, jak to bywa, kiedy chorego boli coś wewnątrz, czego nie da się zbadać dotknięciem białych palców ani rentgenowskimi promieniami.

Wróciliśmy jeszcze w rozmowie, nijakiej i bezsensownej, do starego Porady, właściwie to ojciec zrobił, kiedy powiedział:

- Nie przyszedł do mojej matki, kiedy umierała.

Bo nie głosowała na niego, gdy wybierali go na burmistrza. Socjalistka. Kiedyś miewało się takie matki i takich ojców.

Musiałem sam wypełnić gadaniem kilka jeszcze minut tej wizyty lekarza. Miałem zapytać go, kiedy przyjdzie znowu do mojego ojca, ale powstrzymałem się, bo czułem, że rozmowa dalej nie będzie miała żadnego sensu. Nagle wydało mi się też, że ojciec mój jakby miał w piersi jakiś niewygasły żar pamiętania. Byłem z tego powodu bliski prawdziwej dumy i nadziei. Ale gdy odwróciłem się w jego stronę, ujrzałem na jego twarzy wyraz rezygnacji, wyblakłe spojrzenie, ów dziwny wzrok starca i wychudłe, kruche ramiona i zgięte plecy. Milczał. Krył w sobie uparcie swoje niewyjaśnione tajemnice, osłaniał się milczeniem jak murem, stawał w ten sposób przeciwko nam i przeciwko samemu sobie. Tajemnice, które powstały w mrokach tamtych trzydziestu lat, wyrwanych z naszego wspólnego życia, nie dające się wytłumaczyć ani samotnością ojca, ani jego słabością fizyczną - czyniły z niego obcego, outsidera. Bo się nagle okazało, że to nie żaden mocarz ani archanioł - ten emigrant, teraz repatriant, o którym może pieśni układano i śpiewano. Chociaż każdy rok niósł stamtąd najdobitniejsze echa jego męstwa i sukcesów na obcej ziemi, to jednak kryła się w tamtych szarych, nędznych dniach ostateczna ludzka klęska jego garbatego życia. Ale pomyślałem sobie, że liczy się przecież to, co mimo tych jego tajemnic nakazuje, aby nie ustawać w poszukiwaniach. Więc nie dać się pokonać ani tajemnicy, ani nie ulegać pokusie świętego spokoju, ani nie dać się zaskoczyć śmiercią mojego ojca.

Siedziałem w kącie pod piecem, w starym fotelu, w którym siadywał mój ojciec i palił papierosy, czytał gazety i myślał Bóg wie o czym, widocznie dobrze mu było z tą samotnością, więc niczego nie rozważał, nie podsłuchiwał naszych rozmów, wydawał się przejmująco mocny jak wówczas, kiedy opuszczał kraj nie wiedząc, co go czeka na obczyźnie. Może

dokonał wielkiej sztuki i oddzielił przeszłość od terażniejszości, jak odcina się nadgniłe ciało od zdrowego. Może uciekał świadomie przed wspomnieniami, aby móc żyć jak najdłużej.

Ale był bliski śmierci.

Uniósł się na łóżku i pozostał w pozycji półsiedzącej. Patrzył w moją stronę. Czekał. Po chwili odezwał się cicho:

- Skąd miałem wiedzieć, jak będzie? Wiem tylko, że u innych tak samo; u Urbana, u Panka, u Góry, to może u mnie znowu nie tak źle? A w każdym razie nie inaczej niż u tamtych.

- Kto wie, może trochę inaczej.

- Może trochę inaczej. Panek nie wrócił, bo umarł tam. Urban i Góra wrócili wcześniej niż ja, ale ich żony dawno już pomarły. No to powiedz, jeżeli wiesz, jak to jest u nich? Może za głowę by się złapali ze zdziwienia, że przeżyłem tutaj już dwa lata i że wytrzymaliście z takim chorym łazarzem jak ja aż dwa lata.

Zerkałem co chwila na ojca, obawiałem się dalszej rozmowy, dalszych jego wyładowań, nic nie znaczących zresztą ogólników. Może bym więc tak stanął przed ojcem i powiedział wszystko za niego?

Wszystko od początku do końca, wszystko, nawet to, o czym miałem tylko zielone pojęcie, ale wszystko. Lecz jaki będzie tego rezultat?

Ojciec mrucał coś pod nosem, ale nic więcej, tylko mrucał. Nie miał siły już wstać i zawołać: „ludzie, bracia, siostry, żono, synu, posłuchajcie, opowiem wam wszystko, abyście wiedzieli, jakim byłem i jakim jestem”. Nie, tego już się chyba od niego nie doczekamy. I po cóż byśmy mieli tego oczekiwać?

Milczenie ojca trwało dwa lata, było niepokojące. Ale jeżeli była w tym milczeniu manifestacja samotności, to zdołaliśmy się już nieco do tego przyzwyczaić, zdobywaliśmy się nawet na wyrozumiałość. Więc czy nie można by inaczej? Wywołać zwyczajne wspomnienia, jak wywołuje się w lesie dalekie echo dla zabawy, dla niewinnej igraszki. Nie wykrzykiwać gróźb, przekleństw, nie domagać się ostatecznej, absolutnej prawdy, której zresztą nawet w idealnym małżeństwie nie można sobie powiedzieć. Takie właśnie wywołanie wspomnień nie rani boleśnie, ledwo łagodzi rozdrażnienie jak ciepły piasek sypany strumieniami po nagim ciele na nadmorskiej plaży. Przecież raz tylko w życiu się umiera.

...Daj spokój. Czy nie ma na świecie nic ważniejszego od tego, że Herod zabił śmierć przed czterdziestu laty? Powiem lepiej o dońskim Kozaku, który w piętnastym roku, w marcu, kiedy wydostaliśmy się potajemnie w dziesięciu z oblężonego przez Rosjan Przemyśla, polował na mnie z szablą, ale schowałem się w dziupli starego, ogromnego dębu w lesie pod Birczą.

...To jest upokarzające, chować się jak wiewiórka do dziupli; więcej takich polowań może człowieka zniszczyć, zrobić z niego zero albo przeobrazić go w zwykłego podwórzowego kota. Jak się kichnie tylko, to taki pięknoduch ucieknie na złamanie karku na drugi koniec Niebieszczan. Co innego zabić śmierć, to już nie byle co, to z człowieka robi tytana i wtedy - jejże! na podbój świata!

...Już byliśmy za miastem, na wolności, ale co to była za wolność, skoro sotnia Kozaków wpadła nagle do lasu, siejąc z ręcznych karabinów maszynowych i każdy z nas, austriackich żołnierzy, chował się, gdzie tylko mógł. Powtarzałem przez ściśnięte gardło, kiedy dookoła wzbierała strzelanina i krzyki; „módl się za nami w godzinę śmierci...”, powtarzałem to w koło Macieju, czekając, aż mnie ten wąsaty, przystrzyżony przy skórze chudy Kozak wyciągnie z dziupli pełnej zbutwiałego, mdławosłodkiego kurzu. Na stojąco przespałem w tym zbawicielskim dębie całą noc, stałem nieruchomo jak związany, z brunatnym pyłem w oczach, w nosie i na całej twarzy, bez głosu, jakby przede mną sterczał ten Kozak o czarnych ślepiach i chciał mnie zaraz zastrzelić. Przez szparę w drzewie widziałem schwytych pięciu moich kameradów bez broni, bez pasów, bez odznak, bez czapek, a pozostałych czterech znalazłem następnego dnia o świcie na skraju tego gęstego lasu, w ozimieniu, w zeschniętej kałuży krwi. Szedłem potem przez pola sam, w poszarpanym mundurze, skurczony, tyle że z karabinem w ręce, w kieszeni miałem jeszcze dwadzieścia papierosów, więc poczułem się oswobodzony, słońce przygrzewało, skowronki wydzierały się na cały głos, może biegłem chwilami przez góry i lasy. Pamiętam, że musiałem iść na zachód do mojego domu i z nikim nie zamieniłem po drodze jednego marnego słowa, tylko sam ze sobą gadałem chwilami, ale wiem, dlaczego; powtarzałem jak zaklęcie, które mogłoby mnie uratować, słowo: „człowieku... człowieku”. Mówiłem to z taką żarliwością, że musiałem wpychać sobie do gęby igliwie odurzające i kłujące, aby nie dostać obłędu. Nie ma się co przejmować tym, co się wykopie z przeszłości, to się chyba do niczego nie nadaje, że szedłem sam albo że miałem głupie szczęście podczas tamtej wojny?

...Nie miałem zamiaru zabić śmierci, to znaczy Henryka Kuli, który grał śmierć podczas jasełek w Niebieszczanach. Herod był przecież dzieciobójcą, rozkazał mordować ludzi, ale żeby sam drewnianym mieczem, pomalowanym srebrną farbą, jednym uderzeniem zabił kościstą, małą śmierć, to znaczy Henryka Kulę, dorosłego chłopca, handlarza świń, tego opowieści biblijne nie zapisały. Taki numer nie przeszedłby w tamtych czasach, panowie, niech sobie mówi, co kto chce, ale żeby człowiek miał na swoim koncie śmierć tamtej śmierci, owiniętej w brudne prześcieradło spod tyłka Henryka Kuli, handlarza świń, to na zwykłą sprawę kryminalną nie wyglądało.

...I tak nic z tego nie wyszło. Musiałem wrócić na front, bo cesarz Franciszek Józef odparł rosyjską ofensywę. Byłem ranny pod Tarnopolem i trzeba było znowu samemu iść do odległego szpitala polowego, cały dzień po śniegu, przez wielkie lasy, żeby dojść do swoich i dostać się w ręce ziomka, młodego lekarza, Kazka Garduły.

...To sprawa nie byle jaka, sprawa śmierci, czyli Henryka Kuli, a taka, o której warto coś niecoś powiedzieć. Skoro przeżyłem wojnę, no to co? Takich było tysiące. Ta przeszłość ciąży? znaczy coś? Ciągle tylko chować głowę i tyłek za drzewo, za węgiel chałupy, za byle kamień. Czy warto o tym mówić? Ja jestem wychowany w górach, to widać po mojej twarzy kościstej, po profilu, po moich jasnych oczach, zresztą każdy ma swoje takie czy inne pochodzenie i gdybym ja był na miejscu innych i pracował na swoim, na kawałku ziemi albo w warsztacie, u siebie w kraju, to bym nie pozostawił po sobie tyle smrodu. Zresztą niech inni szukają w moim życiu, czego chcą, ja mogę tylko powiedzieć, że jak zabiłem nieumyślnie Henryka Kulę podczas kłótni z nim za kulisami o nie wypłacone mi przez niego pieniądze za robotę, to w każdym razie nie uciekłem wtedy zaraz z miasta bez zastanowienia, tylko stałem za sceną bez ruchu jak związany, jak w tamtej dziupli, czekając, co ludzie powiedzą i co sąd powie. To mi pozostało, ten głupi nawyk czekania w samotności, co los przyniesie, to patrzeć na innych jak przez szparę w drzwiach. I wtedy niczego mądrego nie potrafię wymyślić na moje usprawiedliwienie. Sad skazał mnie na dwa lata więzienia za to zabójstwo, a ksiądz prałat Wojciech Kwiatek, który te jasełka urządził i siedział wtedy na fotelu za kulisami jako sufler, powiedział mi po wszystkim już, to znaczy po odsiedzeniu przeze mnie wyroku, że każdy człowiek żyje na własny rachunek, ale wtedy tych jego mądrych słów za dobrze nie rozumiałem, tak się widocznie zwykło mówić, że na własny rachunek jak w grze w karty. A bardzo mądrzy ludzie chcieliby układać moralne opinie o tej sprawie,

rozwikłać ją bardziej, niż to zrobił sąd, który wymierzył mi chyba sprawiedliwy wyrok, to znaczy dwa lata więzienia, chociaż czułem się usprawiedliwiony swoją krzywdą i nie przypadkową kłótnią z Henrykiem Kulą, moim pracodawcą, więc okoliczności były znane, odpowiedzialność poniosłem i rozwijać, oświetlać tej sprawy nie będę, po co? Wystarczy powiedzieć, że pobyt na froncie, gdzie uniknąłem śmierci, potem moja rola króla Heroda podczas jasełek, zabójstwo Henryka Kuli i więzienie - stworzyły stertę gliny, z której zostałem ulepiony, ja, człowiek widmo; w miarę odważny, w decydujących chwilach samotny, zamknięty w sobie, nie lubiący się przed kimkolwiek spowiadać ze swoich czynów, więc w gruncie rzeczy człowiek słaby, wieczny uciekinier. Zresztą zawsze to, co mi inni mówili później o mnie, pasowało do mnie, wydaje mi się zatem, że nie powróciłem do kraju po to, żeby samemu z mojego życia robić rachunek, i do tego z pamięci, a inni, żeby się tylko gapili i słuchali, czekali, co z tego wyjdzie, czarne czy białe, orzeł czy reszka. Ci, co nie dostali się na taki trakt jak ja, gnili w smrodliwych izbach o glinianej, ubitej podłodze skrapianej wodą, chodzili z rozczochranymi włosami pełnymi słomy, nie zmieniali portek ani w piątek, ani w świętek...

...Co? Z takich był król Herod?

...Zdziwili się ludzie w mieście, że ksiądz prałat Kwiatek wybrał mnie i dał mi rolę Heroda, ale śpiewałem pięknie, w moim głosie była królewska, gwałtowna męskość, tak mówił ksiądz prałat i śmiał się serdecznie, chociaż wydawało mi się, że z zazdrością. A Henryk Kula był chudy, miał tylko silne, żylaste ręce i nogi, i dlatego pewnie nie płacił mi za robotę tyle, ile mi się należało, na ile ugodziliśmy się, zawsze kilka groszy urwał. Kiedy szedłem ze świniami pędzonymi na dworzec kolejowy, on szedł za mną i też trzymał kij wierzbowy w ręce, uczył się trzymać mocno kosę drewnianą, uczył się roli śmierci, a ja uczyłem się swojej roli, śpiewałem rolę króla Heroda, i tak szliśmy zakurzonym albo zabłoconym gościńcem nic do siebie nie mówiąc. A potem zabiłem tę śmierć, bo ona chciała zabrać ze sobą na drugi świat - króla Heroda...

Ojciec leżał z rękami na piersiach, jakby nasłuchiwał moich myśli układających się w dialog, wargi miał zaciśnięte, oddychał przez nos z wysiłkiem. Patrzył na zamknięte drzwi do sąsiedniej izby, zapewne uważał, że za tymi żółtymi drzwiami była moja matka.

W akacjach zabrzmiał świergot wróbli. Ojciec uniósł brwi.

- Co jakiś czas śniło mi się tam, że umierałem z pragnienia. Wstawałem w nocy i wypijałem naraz dwa garnuszki wody. Może naprawdę miałem pragnienie i nie mi się nie śniło... Nasza woda jest pyszna jak smakowity chleb, wypieczony, razowy, wyjęty prosto z pieca. Czy jest jeszcze ta studnia pod lipa? Woda z tej studni zastępowała miód i piwo, i lekarstwo. Studnia pewnie jest, ale lipy nie widziałem, ktoś ją ściał na opał albo na deski. Mój Boże, i to był dla mnie problem, kiedy w Chicago był straszny upał i bałem się, że zemdleję na ulicy. Wtedy zatrzymałem się przed sklepem z napojami, patrzyłem w witrynę i widziałem tę ogromną lipę i studnię wystającą na pół betonu ponad ziemię. Wchodziłem do sklepu, prosiłem o kubek wody z kranu. Ale potem znienawidziłem zapach tej wody z kranu, obrzydziła mi picie zwykłej wody. Studnia jest, tylko lipę wycięto. Dlaczego?

Nastąpiła pełna ciszy pauza. Wyjątkowy dzień drugiej połowy listopada, przepełniony światłem słońca. Na twarzy ojca pogłębiły się bruzdy. Dziwny dzień. Wciąż tylko sobie coś przypominałem, byłem coraz bardziej czymś zaabsorbowany, męczyło mnie to równoczesne układanie i przeplatanie warstw; dawnych i teraźniejszych - w jeden żywot człowieka. Tyle naraz wszystkiego w głowie. Popatrzyłem to na ojca, to na góry, zwilżyłem językiem wargi i zacząłem mówić wyraźnie, lecz cicho, jakbym wtulił głowę w rozpięty płaszcz, aby ojciec nie słuchał. Dobrze, że wróble w akacjach nie przestały świergotać, przeciwnie, podnosiły coraz większy wrzask, jakby im ktoś robił jakąś krzywdę. Ręce mi trochę zziębły i skostniały.

...Kowal, przynajmniej u nas w Niebieszczanach, był mieszczuchem, nie chłopem. Bardzo lubiłem, gdy mówili o mnie: syn kowala, Piotra, który kuł na kowadle siekiery, sierpy, kosy, noże, motyki, aż białe iskry leciały całymi garściami pod czarny sufit kuźni przylegającej do naszego domu.

Syn kowala, jedno z wielu jego dzieci. Łaziłem z ojcem po jarmarkach, rozkładaliśmy to, co na kowadle ojciec Piotr młotem wykuł - na płachcie, położonej na ziemi. Co się dało, sprzedawaliśmy, a potem wywlekałem ojca z karczmy, układałem pijanego na cudzym wozie i tak wracaliśmy do domu - z Niebylca, z Domaradza, z Frysztaka, z Wielopola, z Czudca. Któregoś jesiennego wieczoru na zboczu Niebyleckiej Góry napadli mojego ojca bandyci, kiedy właśnie wracał z dobrego jarmarku. Zabrali mu pieniądze i ściągnęli mu z nóg nowe cholewy, ale mnie wówczas z ojcem nie było. Nie dociekałem już, kto był moim dziadkiem, pradziadkiem, wystarczyło w Niebieszczanach być synem kowala, to znaczyło należeć do znakomitych,

mądrych, odważnych ludzi. Czyżbym miał skarżyć się na coś? Bynajmniej. Stało się.

Bliżej już jest do wieczora aniżeli do rana, niczym się już nie wykupię od śmierci. Po co?...

...Co mówicie? Zostawiłem was i wyjechałem do „ziemi obiecanej”, ale to nie był błąd, to był przymus albo obowiązek. Tam byłem cudzoziemcem, obcym, przybłądą, dobrze wiem, że nie chcieliście tego, abym wyjechał. Nie były to moje zachcianki, kaprysy, więc lepiej zapłaćmy solidarnie albo niech każdy z nas zaliczy, co chce, co może - na własne konto, bo nie byłoby solidnie, gdyby jeden płacił za drugiego.

...Nie. Pamięć mnie nie zawodzi, nie da się nic przekręcić, nie mam się czego lękać, możliwe, że zostałem przez zły los wysłany tam, aby tam zginąć, tam grób sobie znaleźć, lecz dopiąłem tego, czego wymagało się od każdego uczciwego emigranta, czego niejeden nie osiągnął. Powróciłem. Masz więc razem matkę i ojca, to tak jakbyś szedł za mną w zimie nocą przez zasy śnieżne i zgubił mój ślad, a potem jakbyś mnie odnalazł. A jestem takim, jakim jestem...

...Chytry jesteś i podstępny wobec mnie w obliczu śmierci. Próbujesz wyciągnąć mnie w drogę powrotną, w przeszłość, lecz czyż to zmieni cokolwiek bądź? Nie ma dla mnie na tej ziemi, na którą powróciłem ani radosnego ognia, aby się dobrze ogrzać, ani smakowitej wody, aby zupełnie ugasić pragnienie. Nie widzę nieba, bo jest daleko za akacjami, nie powracam do zdrowia, jestem w położeniu bez wyjścia albo z wyjściem już tylko na cmentarz. Przyznać muszę, że w świecie nauczyłem się wiele, najlepiej znosić samotność, obcość, bezsenne noce, bezmyślne włóczęgi po ulicach.

Ale jedna myśl, że mogę kiedyś jeszcze być wśród was, budziła mnie z odrętwienia choć na moment. Chcesz posłużyć się mną, aby udowodnić, że takie długie rozstanie, wychodzące poza odległe granice - to zbrodnia. Słusznie. Ale dlaczego ta zbrodnia się zrodziła? Czy to ja mam ponosić winę za nią jak za trzęsienie ziemi? Kto płacić ma rachunek za szkody, za rany, za trupy, za płacz, za rozpacz? Ojciec mój, jakkolwiek miał czasem pieniądze po jarmarku, nie zgodziłby się na to wszystko wydać jednego centa i nie dałby się omamić, ogłupić. No więc będziecie mieli do tego wszystkiego jeszcze moją śmierć...

Ojciec leżał w bezradnej ciszy - znieruchomiały. Ciemne brwi nad jego błękitnymi oczyma drgały przedśmiertnie. Pomyślałem, że układanie tego dialogu dalej, w nieskończoność, byłoby niemądre i Nielitościwe, bo czyżbym

mógł naśladować jeden z tych głosów, głos mojego ojca, syna kowala Piotra, tego, który był rajcą miejskim i doradca wszystkich ludzi oszukanych, jakich znał i nie znał. Ale mój dziad nie przewidział, że jego syn da się tak podejść, zwieść i że pozwoli pozbawić się podstawowego prawa sensownego, szczęśliwego życia. Mówili mojemu ojcu, że był silny, sprytny, zwinny po kowalu Piotrze, czyli po własnym ojcu, który wyprawiał go na obczyznę po złote runo. Ale gdybym mógł zapytać mojego dziadka, czy potrafiłby teraz znieść tego swojego syna przy sobie, to zapytałbym go śmiało o to, ale Piotr umarł już po długim, bardzo długim żywocie...